

Anna Filipowicz
Stowarzyszenie EBIB

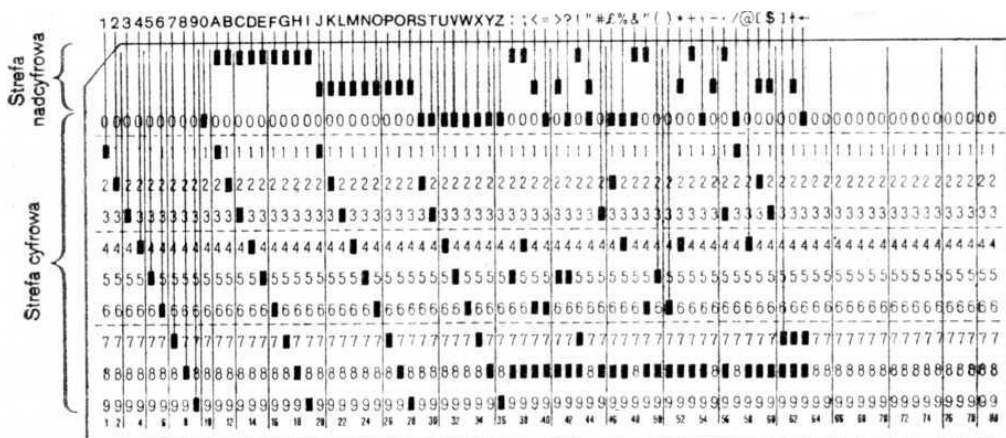
Tak było, czyli niepoważnych słów kilka o przeszłości

Streszczenie: Wspomnienia i refleksje długoletniego pracownika Zakładu Uzupełniania Zbiorów Biblioteki Narodowej na temat organizacji i metod gromadzenia książek i czasopism w czasach sprzed automatyzacji procesów bibliotecznych.

Słowa kluczowe: Biblioteka Narodowa, Zakład Uzupełniania Zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie, historia bibliotek, polityka gromadzenia zbiorów, gromadzenie zbiorów, wymiana zagraniczna wydawnictw, zarządzanie zbiorami, praca zespołowa

Era przedcyfrowa, czyli kiedy? Przed uruchomieniem pierwszego komputera? Przed wynalezieniem, rozpowszechnieniem Internetu? Gdy komputer w bibliotece stał się codziennością?

Okres komputeryzacji/informatyzacji/cyfryzacji w bibliotekach trwa pewnie od 40, a może i 50 lat. Katalog centralny i dane do bibliografii narodowej były w Bibliotece Narodowej (BN) opracowywane komputerowo już w latach 70. Jednak to, że w zamkniętych pomieszczeniach Działu Przetwarzania Danych stały wielkie szafy, w których wewnątrz kręciły się ogromne szpule z danymi, a kilka par wklepywało dane tekstowe na archaicznych terminalach, jeszcze wiosny nie czyniło. Wizerunek karty perforowanej, nośnika danych w pierwszych polskich komputerach, na gmachu magazynowym Biblioteki Narodowej świadczy o tym, że przyszłość bibliotek łączono z komputeryzacją już w latach 60.



Il. 1. Karta 80-kolumnowa z wydziurkowanymi znakami w kodzie maszynowym Odra-1300. Dekoracja elewacji gmachu magazynowego BN imituje prostokątną perforację stosowaną na takich kartach.

Fot. Grzegorz Kaczmarczyk.

Źródło: *Wikipedia* [online]. Dostęp 07.02.2021. Dostępny w: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Karta_dziurkowana-80kolumn_Odra1300.jpg.

Tak daleko moja pamięć nie sięga, załóżmy więc, na potrzeby tych rozważań, że era cyfryzacji rozpoczęła się wraz z upowszechnieniem danych cyfrowych, czyli z początkiem XXI wieku, więc moje refleksje dotyczyć będą lat wcześniejszych.

Rozpoczęłam pracę w BN pod koniec 1984 r., kiedy to powszechnie królowały bloki katalogowe. Pierwsze pytanie, jakie zadała mi późniejsza szefowa brzmiało: czy zna pani druczek bibliotekarski¹? Co proszę? – pomyślałam. Pytanie nie było pozbawione podstaw, gdyż wiele kart katalogowych wypełniano ręcznie i dbano o ich czytelność. Widać inne moje walory zwyciężyły (wzrost, mogłam bez problemu sięgać do górnych półek w magazynie) i tak rozpoczęłam pracę w Zakładzie Uzupelniania Zbiorów, w Sekcji Czasopism Zagranicznych. Kierownictwo odetchnęło, wreszcie pani Halina kogoś zaakceptowała, dotychczas odrzucała wszystkich kandydatów, a ja cóż, wpadłam na chwilę i zostałam 30 lat.

Moi liczni znajomi z BN przepracowali tam wiele lat, a czasem całe życie zawodowe. Zadałam im pytanie: dlaczego? Co sprawiło, że przy tak niskich zarobkach nie szukali innej pracy? Wszyscy wymieniali dwa powody: praca, którą lubili i ludzie, z którymi pracowali.

Zakres zadań Biblioteki Narodowej jest opisany w kolejnych ustawach o bibliotekach i jej statucie: od rejestracji bieżącego dorobku wydawniczego w kraju, przez rejestrację publikacji autorstwa Polaków lub Polski dotyczących, po działalność naukową, informacyjną, instruktazową z zakresu bibliotekarstwa (z uwzględnieniem rozwoju i automatyzacji). Zakład Uzupelniania Zbiorów (ZUZ) to była ta komórka albo zbiór komórek, przez które napływały do BN wszystkie nowe nabytki: Egzemplarz Obowiazkowy Ksiazek, Egzemplarz Obowiazkowy Czasopism, Sekcja Zakupów, Sekcja Wymiany i Darów, Sekcja Czasopism Zagranicznych i – crême de la crême! – Sekcja Programowania Nabytków (SEPRON). Każda pozycja, która trafiała do biblioteki, musiała być zarejestrowana w księdze akcesji i opisana na karcie katalogowej, nie po to jednak, aby zasilić katalog, od tego były bardziej wyspecjalizowane komórki, ale aby umożliwić orientację we wpływach i ewentualne reklamacje. Krótko mówiąc, wszystkie pomieszczenia zakładu ozdabiałały pękające w szwach bloki katalogowe.

Wśród kartotek królowały dwa „słupki” kartoteki płaskiej, służącej do rejestracji czasopism. Była ona zdaje się darem jakiegoś przedstawiciela amerykańskiej Polonii i obiektem dumy jako bodaj jedyny taki sprzęt w Polsce. Rejestracja w katalogach kartkowych utrzymywała się w ZUZ znacznie dłużej niż w innych rejonach biblioteki, ponieważ istniało przekonanie, że pracownicy „gromadzenia” mogą sobie nie poradzić z wymogami komputeryzacji i „mogą popsuć” pracę bardziej wyspecjalizowanych kolegów. Jednak komputery do ZUZ trafiły stosunkowo szybko, choć nie służyły do katalogowania – taką decyzję wymusili partnerzy zagraniczni i zamiana tradycyjnych listów na przesyłane za pomocą poczty elektronicznej.

Kiedy rozpoczynałam pracę w BN, w gmachu na Hankiewicza, nie było jeszcze Sekcji Czasopism Zagranicznych – były „samodzielne stanowiska do spraw...”, jak zwał tak zwał, późniejsza sekcja zajmowała się gromadzeniem prasy polonijnej, zagranicznych czasopism z zakresu szeroko rozumianej humanistyki, międzynarodowych wydawnictw bibliograficznych, czasopism bibliologicznych oraz mię-

¹ *Druczek bibliotekarski* (a. *druczek biblioteczny*) – wbrew nazwie to pismo ręczne, rozłączne (litery się nie łączą), bez zaokrągleń i zawijasów, stosowane w bibliotekach do zapisów ewidencyjnych (księgi inwentarzowe) i na kartach katalogowych; pismo rzeczywiście było bardzo czytelne. Przykład druczku można obejrzeć w internecie w okolicznościowym biuletynie GUM w rozdziale zatytułowanym *Muzeum Kart Katalogowych*. Zob.: *Librorum Amator: biuletyn okolicznościowy. Biblioteka Główna Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego* [online]. 2015, R. 7, nr 1(7), s. 3. [Dostęp 07.02.2021]. Dostępny w: <https://gazeta.gumed.edu.pl/attachment/attachment/59841/biuletyn2015.pdf>.

dzynarodowej prasy. Czasopisma pochodziły z wymiany z bibliotekami zagranicznymi, zakupów i darów. Wymiana, zwana automatyczną, z bibliotekami z tzw. obozu socjalistycznego polegała na tym, że to wysyłający decydował o tym, co trafi do zbiorów beneficjenta, selekcja i rezygnacja z przesyłanych tytułów raczej nie były brane pod uwagę. Obok publikacji pożądaných, takich jak np. bibliografie narodowe, tłumaczenia literatury polskiej czy publikacje wydawane przez polską diaspore lub jej dotyczące, były też liczne wydawnictwa „jedynie słuszne” propagujące idee socjalizmu i jego wielkie osiągnięcia. Wśród czasopism królowały odpowiedniki „Trybuny Ludu” i wydawnictw jej pokrewnych. W drugiej połowie lat 80. te zasady powoli ulegały złagodzeniu, coś tam trafiało do „zbędnych”, coś nowego można było zamówić, choć np. zamówienie czasopism odnotowujących zmiany w bloku socjalistycznym napotykało na pewne trudności.

Wszystko, co trafiało do biblioteki, trzeba było oczywiście zarejestrować. Pół biedy, jeśli te publikacje były w którymś z języków europejskich, np. rosyjskim (moje pokolenie miało z tym językiem do czynienia w szkole, więc większość jako tako sobie z nim radziła), gorzej jeśli były to gazety wietnamskie, koreańskie, chińskie czy np. syngaleskie (a tak, otrzymywaliśmy bibliografię Sri Lanki w tym języku). Przy wstępnym opracowaniu książek mogliśmy liczyć na pomoc orientalistów z UW, ale czasopisma? Powstawały więc podręczne zbiory fiszek zawierające np. nazwy miesięcy czy oznaczenie rocznika w co bardziej egzotycznych językach. Po upadku ZSRR kartoteka wzbogaciła się o nazwy miesięcy w językach nowo powstałych państw. Z rozrewnieniem wspominam te karteczki zawierające skrzętnie zbierane informacje, które „mogły się przydać”. Przy ich tworzeniu wykorzystywano trzy podstawowe techniki: kaligraficzną w mocno nieortodoksyjnym wydaniu, czyli odręczne notatki, druk maszynowy (czy ktoś jeszcze pamięta o korektorach) z wykorzystaniem maszyny do pisania oraz fiszki z naklejonym tekstem wyciętym pracowicie z katalogów, bibliografii, czasem gazet (dziś pewnie powiedzielibyśmy, że to „technika decoupage”). Ten skromny warsztat podręczny uzupełniała *Encyklopedia PWN*, *EWoK (Encyklopedia wiedzy o książce)* i cała masa słowników. Nie mieliśmy Wikipedii, ale mieliśmy kolegów. Jestem pewna, że połączone siły Zakładu Opracowania Rzeczowego i Zakładu Informacji Naukowej gwarantowały lepszy dostęp do wiedzy niż Google – informacja była pełna i sprawdzona.

Wymiana z bibliotekami „zachodnimi” opierała się na innych zasadach niż współpraca z bibliotekami „ze Wschodu”, tu decydował tzw. przelicznik, różny w różnych bibliotekach: książka za książkę, strona za stronę, złotówka za dolara (a tak!). Zachodnie biblioteki – narodowe, slawistyczne, miały utrudniony dostęp do polskiego rynku wydawniczego, więc chętnie wymieniały np. bibliografię za bibliografię, zamawiały tłumaczenia literatury swojego kraju i nowości literatury polskiej.

O wymianie można by pisać wiele, natomiast z punktu widzenia pracownika przekładała się ona na tysiące fiszek, karteczek, szufladek... Dezyderat z komórki merytorycznej, w dwóch egzemplarzach (trzeci zostawał u zamawiającego), opatrzony podpisem i stemplem decydenta, czekał na realizację w odpowiedniej szufladce. Kiedy przyszła pora, aby go wysłać – pozwalała na to bilans wymiany – jeden egzemplarz trafiał do szufladki „wysłane do...”, drugi do listu z zamówieniem. Kiedy książka dotarła do biblioteki, dezyderat był przenoszony do bloku archiwum – jego rola jeszcze się nie kończyła. Książka była przekazywana do opracowania, a to zwykle trwało, mogło się zdarzyć, że ktoś niecierpliwy chciał zamówić ją jeszcze raz, więc każde zamówienie trzeba było sprawdzić.

Zamówienia na czasopisma partnerzy „z Zachodu” realizowali niechętnie, ponieważ koszt prenumeraty obciążał budżet takiej biblioteki na długie lata. Zamawianie czasopism ograniczało się więc najczęściej do publikacji własnych biblioteki lub uczelni, do której przynależała. Chcąc mieć wszystkie interesujące bibliotekę tytuły, a tych było niemało, należało je kupić lub... otrzymać w darze.

O zakupach i środkach przyznawanych na nie pisano już wielokrotnie, ale dary to inna sprawa. O dary trzeba było zabiegać, tym zajmowała się głównie wspomniana już Sekcja Programowania Nabytków. W ramach darów otrzymywała biblioteka wielkie i drogie wydawnictwa informacyjne, publikacje specjalistyczne, polonica – książki, na które nie byłoby nas stać. Darczyńcami byli wydawcy, Ambasada Amerykańska, British Council, Goethe Institut. Cóż, byliśmy biblioteką narodową z za „żelaznej kurtyny” (dla młodzieży: *iron curtain*), obejmowało nas wiele programów pomocowych, wydawcy traktowali to też jako inwestycję na przyszłość – przecież kiedyś wszystko się zmieni, będzie normalnie, jest okazja, żeby klienta sobie wychować.

Wśród darczyńców była osoba, której nie można pominąć – Otto Sagner. Był założycielem firmy Kubon und Sagner zajmującej się importem i eksportem książek do Europy Wschodniej i Rosji, później także, pod szyldem Verlag Otto Sagner wydawał książki z zakresu sławistyki i słowianoznawstwa. Był niezwykle barwną postacią, władał kilkoma językami słowiańskimi, w tym polskim, rosyjskim, czeskim, prowadził z bibliotekami naukowymi wymianę: książki niemieckie za dublety bibliotek polskich. Wymieniał, dawał, a kiedy było to już możliwe, sprzedawał bibliotece książki niemieckie, polonica, sławika, wydawnictwa niszowe, niskonakładowe. W życzliwej pamięci bibliotekarzy pozostał Herr Sagner² kimś w rodzaju św. Mikołaja: zwykle po jego wizycie biurka pracowników wymiany i „okolic” ozdabiały liczne gadżety: linijki, temperówki, kalendarze itp. z logo jego firmy. Zresztą kontakty z bibliotekarzami z zaprzyjaźnionych bibliotek zagranicznych też miały, oprócz merytorycznego inny, powiedziałyby ludzki wymiar. Przyjeżdżający w ramach wymiany bibliotekarze zwykle przywozili jakieś „wyrazy sympatii” dla kolegów, ci z zachodu jakieś bibliotekarskie drobiazgi, ci ze wschodu i południa słodycze. Odwdzięczaliśmy się tym samym, wiadomo było że „dziewczyny z Pragi” lubią sękacza i te malutkie cukierki owocowe (wtedy nowość, dziś dostępne we wszystkich punktach obsługi klienta), a Ojciec Hieronim czekoladę z orzechami.

Szczególnym wydarzeniem były Międzynarodowe Targi Książki – przygotowanie do nich przypominało pospolite ruszenie. Do akcji ruszała przeszkolona ekipa (przestrzegać zapisu danych na znormalizowanej fiszce, wyraźnie pisać „r”, „n”, „m”) kilkudziesięciu „szperaczy”, którzy mieli za zadanie spisać wszystko to, co bibliotekę mogło zainteresować i błyskawicznie dostarczyć swój „urobek” do SEPRON, gdzie czekali koledzy, którzy opisy sprawdzali (może już mamy? może zamówiliśmy?). Liczył się czas, bo na co bardziej interesujące pozycje czyhali bibliotekarze z innych bibliotek i, o zgrozo, amatorzy! Tu przydawały się kontakty z wydawcami i umiejętność nawiązywania nowych znajomości, choć i to nie zawsze skutkowało. Książki można było kupić lub dostać – wielu wydawcom nie opłacało się zabierać ich z powrotem. Dodatkowym łupem były katalogi. Jeśli cze-

² Otto Sagner był wsparciem nie tylko dla BN, ale i wielu innych polskich bibliotek. W 2003 r. otrzymał Medal za Zasługi dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego za wspieranie lubelskiej biblioteki akademickiej. Zob.: Verlag Otto Sagner: wystawa dorobku. W: *KUL Biblioteka Uniwersytecka* [online]. [Dostęp 07.02.2021]. Dostępny w: http://www.bu.kul.pl/verlag-otto-sagner-wystawa-dorobku,art_11386.html.

goś nie było na targach lub nie udało się zdobyć, można było później próbować zamówić za pośrednictwem wymiany. W dobie przedinternetowej katalogi były tak ważne, że w sprawozdaniu z targów podawano liczbę kilogramów zebranych przez „szperaczy”.

Zakład Uzupelniania Zbiorów był jakby węzłem centralnym w bibliotece – zaopatrywał wszystkie komórki biblioteczne w książki i czasopisma, dawał okazję do kontaktów z kolegami z różnych działów. Praca w Sekcji Czasopism Zagranicznych dawała dostęp do bieżących informacji ze świata, także świata bibliotekarskiego – biblioteka miała wspaniały zbiór czasopism z zakresu bibliotekoznawstwa i wszystko to na wyciągnięcie ręki, żal było nie skorzystać.



Il. 2. Dawna siedziba Biblioteki Narodowej przy ul. Hankiewicza 1 w Warszawie, później mieściło się tu Archiwum Dokumentacji Mechanicznej (ADM) obecnie przekształcone w Narodowe Archiwum Cyfrowe (NAC)

Fot. Jan Rubinowicz.

Źródło: *Wikipedia* [online]. Dostęp 07.02.2021. Dostępny w: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Archiwum_Akt_Nowych_01.jpg.

Kiedy rozpoczynałam pracę w Narodowej, jej główną siedzibą był gmach Archiwum Dokumentacji Mechanicznej na Hankiewicza. Tak gmach, jak i jego otoczenie były bardzo przyjazne pracownikom. Część frontowa – tzw. okrągłak, w którym mieściły się czytelnie i pracownie, miał duże okna z wygodnymi parapetami, które wręcz zapraszały do towarzyskich spotkań. Miały też tę zaletę, że można było w porę dostrzec niebezpieczeństwo w postaci przedstawiciela kadry kierowniczej, gdyby taki przez przypadek opuścił swój gabinet. Dodatkowym walorem tego gmachu było jego otoczenie, czyli duży bazar, który rozpościerał się tuż przed drzwiami. Można było „wyskoczyć na przerwę obiadową” lub wracając z pracy, zrobić zakupy – tanio i przyjemnie. Nic więc dziwnego, że przeprowadzka do nowego gmachu w al. Niepodległości była traktowana jak zsyłka na pustynię.

Początek lat 90. to przeprowadzka do „nowego gmachu”. Nowa siedziba, której projekt powstał w 1962 r. została oddana do użytku bibliotekarzy w 1990 r. Przeprowadzka odbywała się etapami, ale budziła raczej pozytywne emocje: duże, jasne pokoje, więcej miejsca, Pole Mokotowskie za progiem... I były plany... Może tak siłownię? Basen? Chociaż stół do ping-ponga? Ten podobno był, były

też jakieś rozgrywki... Ech, marzenia! A rzeczywistość? Pięć schodków pomiędzy „gromadzeniem” a „opracowaniem” i labirynt, który trzeba było pokonać z wózkiem, aby się dostać do pokoju tuż za rogiem. Nie ma co narzekać, schodki niebawem zmieniono na pochylnię o nachyleniu 45 stopni (?!), następna korekta wydłużyła podjazd, „marmurową” powierzchnię pokryła gumowa wykładzina, a ściany zabezpieczono listwami przed uderzeniem wózka i było dobrze. Wszyscy mieli jakieś problemy: a to druty, na które nadziewało się karty katalogowe w nowych blokach, miały kwadratowy przekrój zamiast okrągłego i trzeba było sporo wysiłku, żeby je przełożyć, a to płaskie „włoskie” dachy nagrzewały się latem jak piasek na pustyni, i wszędzie było daleko... Cóż, wszystkim nie dogodzisz...

Oczekiwania środowiska bibliotekarskiego wobec Biblioteki Narodowej były w tym okresie duże (wszak ma w ustawie zapisaną rolę instruktazową), tym większe że był to czas wprowadzania komputerów i opracowania komputerowego w bibliotekach. Potrzeby te realizowano na dwu poziomach – oficjalnym, wspieranym przez SBP, oraz mniej oficjalnym, powiedziałabym wykonawczym. Poziom oficjalny, trochę na zasadzie „proście, a będzie wam dane” wzbudzał wiele kontrowersji. Poziom wykonawczy skutkował zawieraniem przyjaźni, znajomości i wspólnym rozwiązywaniem bieżących bibliotekarskich problemów.

W bibliotece panowała rodzinna atmosfera, wspólnie pracowaliśmy i wspólnie świętowaliśmy. Święta, imieniny obchodzone były w ramach całego zakładu. Myślę, że nie szkodziło to pracy, a podtrzymywało koleżeństwo. Podział obowiązków, choć ustalony, nie był sztywny. W razie potrzeby pracownicy jednej sekcji włączali się w pracę innej – bo tak było trzeba, nie dlatego, że takie było polecenie. Bibliotekarze czuli się odpowiedzialni za swoją pracę – znali zadania i partnerów, z którymi współpracowali, także tych zagranicznych – to przekładało się na efektywność pracy, często także na pozazawodowe przyjaźnie, które trwają do dziś.